Nowa Zelandia - kraj kiwi

Swoją pięciotygodniową (36dni) podróż po Nowej Zelandii rozpoczęłam od wyspy północnej, a dokładnie od Auckland.

20.11 - wylądowałam na lotnisku w **Auckland**. Było słonecznie, ale chłodno. 2 dni spałam w hostelu "City Garden Lodge". Wieczorem spotkałam się ze znajomymi, z którymi miałam podróżować po wyspie północnej.

21.11 - popłynęłam na wyspę **Waiheke**, około 0,5 godz. promem od Auckland. Wybrałam "Waiheke Explorer Tour" z przewodnikiem a zarazem kierowcą naszego autobusu. Wyspa daje dobry początek tego, co się później zobaczy w całej Nowej Zelandii. Piękne plaże, ogromne winnice, kawiarenki, restauracje, sklepiki, szlaki turystyczne i miłych ludzi:) Niestety nie miałam czasu na zwiedzenie wyspy na własną rękę, ponieważ zaplanowałam na ten dzień także wejście na "Sky Tower". Około 16:00 w Auckland zrobiło się szaro i chłodno, ale mimo to zdecydowałam się na "Sky Tower". Widok na miasto ze 182 metrów robi wrażenie. Wieżę zbudowano w 33 miesiące, waży tyle, co 6000 słoni a przy dobrej pogodzie zakres widoczności obejmuje 80km! Winda wjeżdża na górę z prędkością 18km/h. Na wysokości 192 metrów można się wybrać na spacer po zewnętrznej krawędzi platformy wieży. Trzeba jednak pamiętać, że na tej wysokości, przy podmuchach wiatru odchylenia wieży sięgają nawet 1,2 metra. Było to odczuwalne kilka pięter niżej:) Na spacerowanie na zewnątrz nie zdecydowałam się, ale widziałam ludzi, którzy to zrobili. Robi wrażenie! Samo Auckland jest całkiem przyjemnym miastem. W lokalnym przewodniku przeczytałam "Welcome to Auckland - the City of Sails". Ja jednak powiedziałabym "Witamy w Auckland - mieście najbardziej stromych ulic na świecie". Kilkuminotowy spacer bocznymi uliczkami, to jak wspinaczka po górach. A jednak panie w szpilkach też widziałam...:) Podziwiam! Listopad jest okresem świątecznym, więc na wystawach sklepowych widać było choinki, bombki itd. Przy temperaturze ok. 17 stopni, to całkiem ciekawe doświadczenie.

22.11 po południu wyruszyliśmy wynajętym samochodem w stronę **Rotorua**. Byliśmy tam 2 noce w hostelu "Central Backpackers". Pierwszego dnia strasznie padało, więc spędziliśmy wieczór na robieniu zakupów, gotowaniu i planowaniu dalszej podróży. Ja, Stephanie, Ben i Daniel.

23.11 - Poranny spacer po Rotorua. Ciche, spokojne miasto, w którym żyje ok.70000 mieszkańców. Nazywana jest miastem Maori - żyje tam najwięcej Maorysów. Jest nowozelandzką stolicą termalną. Znajduje się tutaj najwięcej gejzerów i "basenów" błotnych. Idealne miejsce do uprawiania sportów wodnych czy wędkowania - oczywiście nie w "basenach" błotnych, a w jeziorach:) My odwiedziliśmy "Wai-O-Tapu" czyli "Termal Wonderland". Oddalone o kilka kilometrów od Rotorua. "Wai-O-Tapu" zajmuje około 18km kwadratowych, jednak dla turystów udostępniona jest tylko nieznaczna jego część. Wykupując bilet, dostaliśmy mapę 3 tras. Wybraliśmy tę najdłuższą liczącą 3 km. Przejście jej zajęło nam ok.1,5 godz. Niesamowite miejsce, gdzie woda osiąga temperaturę 300 stopni Celsjusza. Zapach określany jest jako, "zgniłe jajka". I rzeczywiście pierwsze minuty były okropne. Nie dało się oddychać. Jednak po chwili można się do tego przyzwyczaić i spokojnie podziwiać gotującą się wodę, parującą ziemię i kratery. Obowiązuje tam bezwzględny zakaz palenia, ponieważ związki chemiczne wydzielane przez wodę zawierają siarkę. Dokładnie takie same zjawiska występują w Islandii. Jednak tam zapach jest znacznie silniejszy.

24.11 - Dotarliśmy do **Turangi**. Zostaliśmy tam na 3 noce w bardzo przytulnym hostelu o nazwie "Riverstone". Zaczęło się od wizyty w centrum informacyjnym. Centra takie znajdują się w każdym mieście i miasteczku. Można tam uzyskać wyczerpujące informacje o okolicznych atrakcjach, szlakach do zwiedzania, czy pogodzie na następne dni. Przejechaliśmy samochodem po okolicy, zrobiliśmy zakupy na kolację i gotowaliśmy:) Ryż z kurczakiem w sosie słodko

kwaśnym do tego pyszne winko. Czasami trzeba zaszaleć:)

25.11 - Wstaliśmy około 11, niektórzy po 12. Ten dzień nie był wypełniony po brzegi:) Brakowało nam pomysłów, co by tu robić po południu w takim małym miasteczku. W hostelowej recepcji znaleźliśmy informację o gorących basenach. Miejsce oddalone o ok. 6 km od Turangi. Pojechaliśmy tam. Wykupiliśmy wstęp do prywatnego basenu z wodą o temperaturze 40 stopni Celsjusza oraz na duży basen. Pani w recepcji oznajmiła, że w małym basenie można przebywać maksymalnie 25 minut! Na początku wydawało nam się to strasznie krótko, ale kiedy weszliśmy do niego, to już po 10 minutach zrobiło się nieprzyjemnie. Organizm długo nie wytrzymuje w takiej temperaturze. Przez 25 minut wchodziliśmy do basenu i wychodziliśmy z niego, żeby zaczerpnąć powietrza. Potem poszliśmy na duży basen publiczny. I tutaj niestety temperatura też była za wysoka, żeby w nim pływać, bo osiągała 37 stopni Celsjusza. Poza tym było tam dużo dzieciaków i trzeba było uważać, żeby przypadkiem nie wskoczyły nam na głowy. Dzieci w Nowej Zelandii od 3-4 roku życia uczą się pływać i te w wieku 6-8 lat pływają lepiej niż niejeden dorosły u nas:) Skoki do wody na tzw. bombę, czy salta, to dla nich coś łatwego. Rodzice w ogóle nie muszą ich pilnować.

26.11 - Tego dnia wstaliśmy wcześniej, zjedliśmy pyszne śniadanko i wyruszyliśmy samochodem w stronę Tongariro National Park. Po dotarciu na miejsce weszliśmy do centrum informacyjnego parku. Zabraliśmy darmowe mapy, kupiliśmy ciepłe czapki (bo w górach temperatura jest znacznie niższa, jak w mieście). Trójka z nas wybrała 2 godzinną trasę do przejścia w okolicach gór, po drodze mijając lasy, rzeki i wodospady. Pogoda była idealna, świeciło słońce, wiał lekki wiaterek. Czapki się przydały na początku trasy, kiedy wiatr był silniejszy. Wieczór spędziliśmy na gotowaniu. Tym razem makaron z mięskiem w sosie pomidorowym i lokalne piwo. Piwo jest słabe i potrzeba jego "troszkę", żeby zakręciło się w głowie:)

27.11 - Dotarliśmy do **Wanganui**. Spędziliśmy tam jedną noc w hostelu "Tamara". Nie było tam za wiele do zwiedzania, ale był to nasz punkt odpoczynku po drodze do Wellington. Pogoda była naprawdę super. Upał na krótki rękawek i klapki, więc w hostelowej recepcji zapytaliśmy o mapę i najbliższą plażę. Przygotowani, z ręcznikami i strojami kąpielowymi pojechaliśmy na plażę. Niestety okazało się, że na plaży jest strasznie zimno i nie było mowy o opalaniu, a już w ogóle o kąpieli! Ale za to fotki mamy:) W samej Wanganui weszliśmy na wieżę widokową i porobiliśmy całkiem niezłe zdjęcia. Wieczór, to kolejne zakupy i gotowanie kolacji, czy jak to tutaj nazywają obiadu.

28.11 - Dotarliśmy do stolicy Nowej Zelandii czyli **Wellington** (2 noce). Pogoda była po prostu straszna. Gdyby nie ciężki plecak, to chyba pofrunęłabym. Hostel YHA, to takie centrum informacyjne. Ulotki na temat każdego miasta w NZ, darmowe mapy i porady. Można też zarezerwować bilet autobusowy, czy na prom na wyspę południową. Hostel jest duży i daje możliwość poznania wielu nowych ludzi, wymienić się bezcennymi informacjami o NZ. Nawet w tak dużym hostelu na wiadomość o tym z jakiego kraju przybyłam, robili duże oczy. Poland?! Wow! Ale po oczach dało się poznać, że nie mają pojęcia gdzie to jest;) Wiele razy tłumaczyłam, że w Polsce nie mówi się po fińsku, czy niemiecku, że Polska leży w Europie itp. itd. Tego dnia poszliśmy tylko w 2 miejsca, a mianowicie do "New World" (supermarket), zrobić zakupy na kolację oraz zwiedziliśmy najbardziej znane tutaj muzeum "Te Papa", co dosłownie oznacza "Nasze Miejsce". W "Te Papa" znaleźliśmy wszystko na temat Nowej Zelandii, Maorysów ich kulturze itp. Zobaczyliśmy repliki ich statków, zwierząt, filmy 3 D prezentujące podwodne życie NZ, przeżyliśmy trzęsienie ziemi w malutkim domku, zobaczyliśmy w jakim tempie zaludniona została NZ i jakie narodowości najczęściej się tu osiedlają. Z moich obserwacji wynika, że 99% turystów stanowią tutaj Niemcy. Oni są dosłownie wszędzie. W większości hosteli, gdzie mieszkaliśmy było 99,9% Niemców i ja:)

29.11 - zwiedzanie Wellington na własną rękę i 3 godziny spędzone w Mc Donalds, bo tam jest darmowy internet!:) Pogoda tego dnia była świetna do spacerowania po mieście. Przeszłam główną ulicą, po drodze mijając parlament i tłumy ludzi spieszących się gdzieś... Rzadko

spotykane w Nowej Zelandii:) p.s. Wellington to najbardziej wysunięta na południe stolica na świecie.
Wieczorem każdy z nas zaplanował własną podróż po południowej wyspie Nowej Zelandii. Do naszej grupy dołączył brat jednego z chłopaków, a odeszła Stephanie. I tak oto była nas czwórka, ale w innym składzie. Niestety nastroje nie dopisywały. Robiło się coraz gorzej, wręcz toksycznie. Tego dnia zarezerwowałam sobie "FlexiPass 45 hours", czyli bilet autobusowy, którzy upoważnia mnie do przejechania 45 godzin jedną z czterech linii autobusowych do wyboru. Samemu planuje się trasę według ich mapy i rezerwuje się dzień wcześniej miejsce w autobusie na wybranej trasie. Zarezerwowałam też nocleg w dwóch kolejnych hostelach.

30.11 - Tego dnia o 7 rano wyruszyliśmy na prom z Wellingon do **Picton**. Prom "Interislander" płynął ok. 3,5 godz. Widoki po drodze były niesamowite! Discovery na żywo. Pogoda piękna, zdjęcia wyszły idealnie. I tutaj cała nasz grupa płynęła tym samym promem. Niestety nie udało mi się spotkać z koleżanką.
Tego samego dnia prosto z promu pojechaliśmy do **Nelson**. Spędziliśmy tam 2 noce w hostelu "The bug". Było tam wszystko, czego do życia potrzeba. Duże pokoje, kuchnia, salon, ogromny ogród, darmowe rowery i bezcenny internet, którego wszystkim tak bardzo brakowało. Tego dnia pojechaliśmy na plażę. Świetna pogoda i piękna plaża, do tego słońce, które opala w kilka minut. Kolacja na własną rękę, bo przecież i tak grupa się rozpada, to po co gotować razem... Toksyczna atmosfera, nie do wytrzymania.

01.12 - No i mamy grudzień. Pojechaliśmy do "Abel Tasman National Park". 2 osoby popłynęły wodną taksówką na drugą stronę parku, żeby potem wrócić pieszo wytyczonym szlakiem. Ja wybrałam inną opcję, ponieważ małe łódki i łódeczki doprowadzają mnie do choroby morskiej, od czasu kiedy obserwowałam wieloryby w Islandii. Przeszłam szeroką plażą wzdłuż parku, a potem krótszym szlakiem przez park. Widoki niezapomniane. Pogoda wspaniała, jak nam później powiedziała kasjerka w lokalnym sklepiku, zazwyczaj po południu strasznie tam wieje. Tego dnia słońce wręcz męczyło. Po powrocie ze szlaku, ku mojemu zaskoczeniu, szeroka plaża okazała się bardzo wąską plażą! Wystarczyły 2 godziny. W Abel Tasman National Park można także wybrać się na kajaki. Wielu turystów tak też zrobiło. My z braku czasu nie zrobiliśmy tego. Wieczorem poszłam tam, gdzie kolejnego dnia miałam wyruszyć w samotną wyprawę autokarem po południowej wyspie. Udało mi się znaleźć to miejsce w 0,5godz. Wieczorem pakowanie wszystkiego, co należało do mnie, czyli ciuchy, przewodniki, jedzenie, aparat, laptop itd.

02.12 - Budzik nastawiony na 5:30, śniadanie, kanapki na drogę i 20 minut drogi z walizką i plecakiem przez miasto. W biurze "Inter City" wzięłam kilka identyfikatorów, którymi musiałam oznaczyć swój bagaż, czyli wpisać imię, nazwisko, telefon, adres i miejsce docelowe, czyli **Westport**. O 7:15 wyjazd. Trasa wiodła m.in. przez Victoria Forest Park". Piękne widoki. Ale byłam tak zmęczona, że co chwilę zasypiałam. Kierowca po drodze opowiadał, co będziemy mijać, gdzie będziemy się zatrzymywać, żeby zabrać kolejnych turystów i gdzie będzie 15 minutowy postój na śniadanie, czy kawę.
Do hostelu "Tripp Inn" w Westport dotarłam ok. godz 11 rano. Dostałam klucze i w końcu byłam w swoim pokoju, który dzieliłam z pięcioma osobami. Jednak przez cały dzień hostel był pusty. Turyści zakwaterowali się dopiero wieczorem. Spakowałam do plecaka aparat, kanapki, coś do picia, mapę i poszłam zwiedzać miasto. Przechodząc uliczkami spotkałam wielu miłych ludzi, każdy z uśmiechem na ustach odpowiadał "Hi", "Hello":) Co zwróciło moją uwagę, to liczne warsztatataty samochodowe i ciężarówki. Idąc wg mapy dotarłam do plaży. Nie była to najpiękniejsza plaża, ale przyjemnie było posiedzieć tam samemu. Nikogo dookoła przez kilkanaście minut. Dopiero potem pojawiło się kilka samochodów, które powoli wjeżdżały sa plaże, tą samą drogą, którą ja przyszłam i odjeżdżały gdzieś daleko. Zaobserwowałam starszego pana, który szedł plażą, mijając konary drzew, których było tam bardzo dużo, szukał czegoś. Podszedł do mnie, zapytał co słychać i dosiadł się do mnie na chwilę. Zapytał skąd jestem i jak mi się podoba Nowa Zelandia. Przyjemna rozmowa, która skończyła się żartem. Powiedział do mnie "Jak spojrzysz przed siebie, to tam w oddali dostrzeżesz "Opera House" w Sydney". Zrobiłam duże oczy, po czym on odpowiedział: "Taki żarcik, wiesz?". I życzył mi udanego pobytu na południowej wyspie NZ. Niestety, kiedy pakowałam się do wyjścia na miasto, zupełnie

zapomniałam o balsamie do opalania! I tak po godzinie spędzonej na plaży moja twarz, uszy i kark nabawiły się poparzeń. Opalenia na karku i twarzy dało się wytrzymać, ale uszy strasznie piekły, a nawet bolały!

03.12 - Kiedy się obudziłam nie było już nikogo w moim pokoju. Wszyscy, którzy w nim nocowali byli tu tylko na jedną noc. O godz. 10 zjadłam śniadanie i już tradycyjnie wypiłam kubek zielonej herbaty. Potem poszłam do miasta w poszukiwaniu nowych butów. Niestety moje wspaniałe japonki, które były ze mną przez 2 lata, w końcu się zepsuły i zostałam w klapkach prysznicowych i trampkach. W mieście znalazłam kilka sklepów, w których można było kupić buty, ale klapki za 60$, to nie dla mnie! Poszłam więc dalej. Wchodząc do każdego sklepiku, który ciekawie wyglądał z zewnątrz. I tak trafiłam do sklepu z antykami prowadzonego przez starszego pana, który słuchał Black Sabbath na cały regulator. Przywitał mnie z uśmiechem na ustach i zapytał skąd jestem. Dla ułatwienia na początek powiedziałam, że z Europy, a dopiero potem, że z Polski. Odpowiedział "aaaaa... to nad Bałtykiem, prawda?" Byłam w szoku, bo potrafił zlokalizować nasz kraj na mapie:) W jego sklepie można było znaleźć dosłownie wszystko! Meble, sztućce, T-shirty, płyty CD, winyle, zastawy stołowe itd. Na zewnątrz wisiał napis "Zostaw coś i zabierz coś":) Byłam też w sklepie "Wszystko za 2 dolary". Nie było tam nic ciekawego, co zwróciłoby moją uwagę. Zwiedzanie miasta zakończyłam na zakupach w "New World". Coś co od dawna powinnam była kupić, czyli nici i igły oraz żel na ukąszenia komarów, które wieczorem są bardzo uciążliwe, udało mi się tam kupić. Po powrocie do hostelu zjadłam skromny lunch i zabrałam się za zszywanie dziur w plecaku. I w końcu też napisałam to wszystko o NZ właśnie dzisiaj:) Reszta będzie już na bieżąco:) Przynajmniej się postaram.
W trakcie pisania do pokoju weszli nowi turyści - para z Izraela Noa i Cobe. Po krótkim zapoznaniu się pojechaliśmy razem ok. 12km za Westport, żeby zobaczyć foki. Pogoda nie była najlepsza, ale udało nam się zobaczyć kilka sztuk.

04.12 - Pobudka o godz. 8:45, prysznic, śniadanie i pora ruszać w stronę sklepu "Caltex", gdzie podjedzie autobus. I ruszam w stronę **Greymouth**. Pogoda deszczowa, ale na porę lunchu troszkę się rozpogodziło. Kierowca zatrzymał się na 45 minut przy "Punakaiki - Pankakes Rocks" - czyli "naleśnikowe skały":) Całkiem ciekawe zjawisko. Dobrze przygotowana trasa dla turystów, po drodze opisy wszelkich roślin, jakie tam się znajdowały oraz zwierząt, które czasami wyskakiwały z krzaczków:) Spotkałam tam Noa i Cobe. Potem lunch, który dzieliłam z pewnym nielotem. Bardzo mu smakowała moja kanapka. Chętnie pozował do zjęć:) Trasa z Westport do Greymouth wiedzie przez piękne zatoki morza Tasmańskiego. Nawet zostały one uznane przez "Lonely Planet" za jedne z 7 najpiękniejszych na świecie. Do Greymouth dotarłam ok. godz. 13:15, była niedziela. W punkcie informacyjnym, który mieścił się na stacji kolejowej, wzięłam mapę miasta, zapytałam pewnego Pana, w którą stronę powinnam pójść i w 10 minut znalazłam się w hostelu. Hostel o nazwie "Noah's Ark", czyli Arka Noego, mieści się w starym, ale pięknym budynku. Pokoje dla odmiany nie miały numerów, tylko nazwy, np. mój pokój, to pokój "Pigi". Ściany różowe, na półkach maskotki świń, a na jednej ścianie namalowana świnia leżąca na trawie i wąchająca kwiatki:) Trochę się uśmiałam, jak tu weszłam. Dostałam też bilet na darmowy internet, który działał tylko 10 minut!;) Po wypakowaniu zbędnego balastu z mojego plecaka poszłam do miasta. Około tygodnia temu zgubiłam, a raczej zostawiłam w jakimś hostelu ładowarkę od jednego z moich 2 telefonów. Od tego z polskim numerem tel. To była nokia i ludzie mówili, że ciężko będzie dostać ładowarkę, bo teraz wszyscy używają iPhonów... Ale znalazłam tutaj sklep z elektroniką itp., coś w stylu naszego Media Expert. Ekspedientka z uśmiechem powiedziała, że mają takie ładowarki! Wow! Zostałam uratowana... Po chwili okazało się, że zostały tylko ładowarki samochodowe! Pozostało mi tylko kupić samochód i będzie komplet:) Miła Pani poradziła, żebym poszła do sklepu obok, może oni będą mieli takie ładowarki. Tak na wszelki wypadek zapytałam o cenę. Koszt 30$! Kolejne rozwiązanie, to kupić najtańszy telefon, jaki mają w ofercie. Okazało się, że jest vodafone za 39$. Bez zastanowienia kupiłam go. Kolor do wyboru? Tylko różowy. Tak więc mam teraz "piękny" różowy telefon:) haha. Ale z ładowarką:) Nowe japonki też kupiłam. Po przecenie 9$. Najważniejsze załatwione, więc można ruszać dalej. Zakupy robiłam kilka minut i w ciągu tego czasu odjechały wszystkie autobusy z turystami, a ludzie spacerujący po mieście zniknęli. Tak właśnie wygląda niedziela w Greymouth:) Cicho i spokojnie, więc dlaczego nie porobić zdjęć na ulicach? Na jednym ze skrzyżowań 2 samochody,

które akurat tędy przejeżdżały musiały się na chwilę zatrzymać:) Ale kierowcy byli bardzo uprzejmi, z uśmiechem czekali aż zrobię zdjęcia:) Okolica Greymouth jest bardzo ciekawa, po jednej stronie rzeka "Grey River" i góry, a po drugiej stronie tory, które prowadzą najpiękniejszą trasą do Christchurch. Pociąg TranzAlpine, to jeden z najważniejszych punktów wycieczki większości turystów. Trasa ta jest jedną z najpiękniejszych na świecie. Kilka dni temu wykupiłam bilet na ten pociąg. Od 23 do 25 grudnia będę w Chrischurch, a że tubylcy mówią, że to "death city", to nie będę marnowała w nim czasu. Wigilię spędzę w pociągu, razem 6,5 godziny w dwie strony. Już nie mogę się doczekać. Luncho-obiad zjadłam w Mc Donalds i spotkałam tam Noa:) Zarezerwowałam sobie miejsce w autobusie na jutrzejszy dzień. Trasa Greymouth - Franz Josef oraz Franz Josef - Queenstown za 2 dni.

05.12 - Przedpołudniowy spacer po Greymouth, zakupy w formie gadżetów i koszulek z napisem "I love NZ":) ... i nie tylko. O 13:30 autobus do **Franz Josef**. Po drodze kierowca zatrzymał się w mieście **Hokitika**. Mieliśmy 45 minut na spacer po mieście, zakupy itp. Malutkie miasteczko, ale bardzo przyjemne. Kupiłam widokówki, bo było tanio:) Droga do Franz Josef była bardzo kręta. Momentami było bardzo niebezpiecznie. Do tego padał deszcz. Ale widoki były przepiękne: góry, rzeki, jeziora. Do Franz Josef dotarliśmy ok. 16:30. Ze względu na deszcz kierowca odwiózł wszystkich pod wskazane adresy:) Dzięki temu nie musiałam targać swojego ciężkiego bagażu. Hostel "Global Warm Cottages" okazał się bardzo przyjemny. Małe chatki z czterema łóżkami, do tego własna łazienka i mała kuchnia, telewizor, a przed chatką stoliki i krzesła. Taka mała wioska w środku miasteczka. Zostanę tutaj na 2 noce, bo zaplanowałam spacer w okolicach lodowca. Nie wiem jednak, czy będzie taka możliwość, bo ciągle pada deszcz... To miasteczko, to wioska. Mieszkańców tylko 250. Nic tu nie ma! Pogoda beznadziejna i raczej na pewno nie wybiorę się na lodowiec. Najtańsza wyprawa to 67$. Zapłacić tyle i nic nie widzieć? Nie! Dzwoniłam dzisiaj do moich dziadków. Ucieszyli się:)

06.12 - Wstałam o 8, jakaś kanapka, zielona herbata i ostatnie godziny darmowego internetu do wykorzystania. Okazało się, że hostel, który zarezerwowałam w Queenstown nie ma wolnych miejsc. Zarezerwowałam więc inny i tam już potwierdzili wolne miejsca. Zalogowałam się na stronie "National Geographic". Założyłam sobie konto, ale niestety nie udało mi się nic ciekawego wpisać. Innym razem, jak będzie więcej czasu i darmowy internet bez limitu. Znalazłam sklepik z żywnością i kupiłam różne przysmaki oraz bułki na jutrzejszą podróż. Pogoda świetna, więc zdecydowałam się na lodowiec. Poszłam do punktu informacyjnego, tam dostałam mapę różnych tras, które można przejść samemu oraz te, na które nie można wchodzić bez przewodnika. Kanapki, coś do picia na drogę, no i poszłam. Początek trasy, to główna droga, którą trzeba dzielić z samochodami, autobusami i innymi pojazdami. Później jest już lepiej, bo trzeba iść przez las wytyczoną ścieżką. Cała droga do punktu, z którego rozchodzą się wszystkie szlaki, zajęła mi godzinę. Ścieżka, która prowadziła do lodowca zajęła mi 1,5 godz. w dwie strony. Lodowiec nie zrobił na mnie szczególnego wrażenia. Wróciłam do hostelu zmęczona i głodna. Przeszłam 14 kilometrów.

07.12 - O 8:00 wyjazd z Franz Josef do **Queenstown**. Droga była bardzo długa (8,5godz. autobusem) i kręta, ale za to te widoki. Góry, lodowce, rzeki, wodospady i jeziora. Zatrzymywaliśmy się po drodze kilka razy, żeby porobić zdjęcia, ale także na śniadanie, lunch i kawę. Spotkałam kilka osób, które wcześniej jechały ze mną tym samym autobusem. Zgrana ekipa. Ale każdy zakwaterował się w innym miejscu. Jedni w hotelach, inni w motelach i hostelach. Ja zostanę 4 noce w hostelu "Butterfli Lodge". Pokoje są okropne. Brak szaf, wszystko leży na podłodze. Mieszkam z 3 innymi osobami. Ale za to widok z tarasu rekompensuje wszystko! Jezioro i góry:) Jest pięknie. A do centrum mam 10 minut spacerkiem. Może uda mi się zmienić pokój na 2 osobowy, chociaż na 2 noce. Byłoby super, ale wszystko zależy, czy osoby, które go rezerwowały potwierdzą swój pobyt. Kolację jadłam w Mc Donalds z nadzieją, że skorzystam z internetu. Niestety połączenie było, ale nic poza tym. Nie udało się. Poza tym nie mam na razie innych planów na Queenstown. Może rejs do Milford Sound...

08.12 - Dzisiaj kupiłam więcej nowozelandzkich pamiątek i wysłałam je pocztą do Polski. Nie dali

gwarancji, że dojdzie na święta, ale nie ma to dla mnie znaczenia. Ważne, żeby w ogóle doszło. Nie zmieniam pokoju na dwuosobowy, bo za drogo.
09.12 - Wstałam ok. 9:00 i po śniadaniu poszłam na długi spacer. Wybrałam Queenstown Hill Walkway. W przewodniu napisali, że przejście całej trasy zajmuje 1,5godz. Ja zrezygnowałam po godzinie. Szłam cały czas w górę i w górę... To było straszne. Czasami ulicą, czasami schodami w lesie. Tam, gdzie doszłam widok był niesamowity. Całe Queenstown z lotu ptaka. Zejście na dół też nie było prostą sprawą, bo było naprawdę stromo! Po drodze obserwowałam ludzi, którzy latali na paralotniach. Dało się słyszeć krzyki i śmiech:) Potem przeszłam przez centrum i poszłam do Queenstown Gardens. Park przy jeziorze Wakatipu. Przy brzegu łódki i łódeczki, na plaży opalający się ludzie, a w wodzie kaczki i inne stworzenia oraz ludzie w kajakach. Spędziłam tam ok.2 godz. Queenstown ma tylko 20000 mieszkańców, ale atrakcji tyle, co niejedno duże miasto. Np. 120 różnego rodzaju restauracji i kawiarenek, różnego rodzaju biura oferujące bungy jumping, sky diving itp. Jest w czym wybierać. Dzisiaj przyjechała Stephanie, zakwaterowała się w hostelu YHA w centrum miasta. Spotkamy się o 20:00. Zarezerwowałam sobie bilety autobusowe na kolejne przejazdy, np. z Queenstown do Milford Sound, z Milford Sound do Queenstown, z Queenstown do Dunedin itd. Zarezerwowałam także noclegi w tych miastach oraz nocleg na ostatnie 3 noce w Christchurch. Poza tym zrobiłam dzisiaj pranie! Bardzo ważna rzecz;) Kolacja na mieście. Pyszna włoska pizza i do tego piwo:) Wieczór zakończył się o 24.

10.12 - Dzisiaj był dzień zakupów i wieczornych szaleństw przy winie:) Nocowałam w YHA, w pokoju Stephanie... Szczegóły tego wieczoru pozostawię dla siebie...

11.12 - A jednak pojechałam do **Milford Sound**, ale nie zostałam tam na noc. Wybrałam zorganizowaną wycieczkę autokarową i rejs promem. Niesamowite widoki, ale raczej nie ma po co tam zostawać na noc. Jeśli ktoś lubi przyrodę i nie potrzeba mu nic więcej, to jak najbardziej polecam to miejsce:) Przewodnik powiedział, że można tu spotkać hollywoodzkie gwiazdy. Ostatnia noc w Butterfli Lodge.

12.12 - Dzisiaj spotkałam się ze Stephanie, Danielem, Chrisem i ich nową koleżanką - Jennifer z Kanady. Przeniosłam się także z Butterli Lodge do YHA, w samym centrum i blisko do przystanku autobusowego.

13.12 - O 7:45 autobus do **Dunedin**. Prawie przez całą drogę spałam:) Wczoraj była ciężka noc:) W Dunedin byłam ok. 12:30. Hostel "Hogwartz" okazał się całkiem fajny, ale położony na wzgórzu! Kolejna ciężka przeprawa z bagażem. Dzisiaj nic nie załatwiłam. Zrobiłam tylko zakupy na kolację i ugotowałam ją. Pierwszy raz od dłuższego czasu. Jutro pójdę do biura informacji zarezerwować sobie kilka wycieczek.

14.12 - Kupiłam laptopa. Mały, lekki, idealny w podróż. Ale mój poprzedni laptop będę musiała wysłać do Polski. Koszt to ok.50 dolarów. Nie jest źle. Byłam dzisiaj na słynnym tutaj dworcu kolejowym. Chciałam kupić bilet na podróż pociągiem, ale pogoda była na tyle beznadziejna, że zrezygnowałam. W biurze informacji turystycznej wykupiłam bilet na jutro do Otago Peninsula.

15.12 - **Otago Peninsula**, godz. 9:00. Wycieczka składa się z dwóch części. Pierwsza, to rejs kutrem (:) - oni to nazywają prom! I tutaj obserwowaliśmy słonie morskie, foki i albatrosy - największe morskie ptaki. Ważą do 7kg, a rozpiętość ich skrzydeł osiąga 3 metry. Morze było bardzo niespokojne. Przed rejsem wzięłam tabletkę na chorobę morską. I to mnie uratowało. Kolejny etap wycieczki, to spacer po rezerwacie pingwinów., Występują tutaj pingwiny żółtookie - jest ich tylko 4000 oraz pingwiny niebieskie, czy błękitne. Dzień zakończyłam na zakupie folii bąbelkowej, potrzebnej do wysyłki mojego laptopa. Wieczór spędzam na przerzucaniu wszystkich dokumentów z jednego laptopa do drugiego.

16.12 - Dzisiaj wysłałam laptopa do Polski. Powiedzieli, że w ciągu 4-10 dni roboczych będzie w Polsce. Tutaj obsługa na poczcie jest bardzo miła i pomocna. Mimo długich kolejek wszyscy są

cierpliwi i uśmiechnięci:) O 17:15 autobus do **Invercargill**, z przesiadką w Gore. Na miejscu byłam o 20:30. Wcześniej zadzwoniłam do hostelu z informacją, że będę później. Nie było żadnego problemu. Kierowca autobusu zawiózł mnie pod sam hostel, chociaż nie było tego w ofercie:) Po prostu był na tyle miły. Uwielbiam to u Nowozelandczyków. Wybrałam hostel Sparky's Backpackers. Nie jest to hostel BBH ani YHA. Cena jest bardzo dobra i położenie hostelu też. Chociaż nie jest to centrum miasta. Miło przejść się na spacer do centrum i zwiedzić troszkę po drodze:)

17.12 - Spałam troszkę dłużej. Śniadanie o 10:00 i spacer do miasta. Najpierw odwiedziłam i-Site (centrum informacji turystycznej) i wykupiłam wycieczkę na Stewart Island - prom i autokar z przewodnikiem. Nie było to tanie, ale jak już tu jestem, to warto zwiedzić tę trzecią największą wyspę Nowej Zelandii. Invercargill jest innym miastem. Chyba nie widziałam żadnego turysty. Jest to całkiem możliwe, bo w sklepach nie ma też pamiątek typowo nowozelandzkich, np. magnesów na lodówkę, czy breloków do kluczy. A tam, gdzie są turyści jest tego pełno na każdym kroku. Invercargill jest domem najszybszego indiana na świecie. Chodzi o motocykl. Dwa razy oglądałam film o nim. Jak starszy Nowozelandczyk - Burt Munro wybrał się do USA na wyścigi Indian. Zapakował swój pojazd w dywany i drewniane pudło i wysłał do promem do USA. Nikt nie dawał mu nadziei na wygraną, w ogóle nie polecali mu udziału w tego typu wyścigu, ale on to zrobił i wygrał. W Invercargill jest sklepem, w którym można zobaczyć ten pojazd. Reklamują go jako "Home of the world's fastiest indian". Tylko nie wiem dlaczego znajduje się on w sklepie w farbami...:) Zapomniałam dopisać, że po śniadaniu zrobiłam pranie. Nazbierało się tego! I dobrze zrobiłam nie piorąc wcześniej, bo tutaj jest za darmo:) Tak samo, jak internet w McDonald's - bez ograniczeń. Jak wróciłam z miasta, to Sparky pokazał mi cały hostel, jego króliki, bar na dworze i hot pool, który jeszcze nie jest czynny, ale wkrótce będzie:) Sparky jest bardzo dumny z tego miejsca. I wcale się nie dziwię, bo jest tutaj naprawdę super. W nocy miałam 3 osoby w pokoju, a teraz jest godz. 16:30 i nie ma nikogo. No oprócz mnie;) Ale przeważnie ludzie przyjeżdżają wieczorem. P.S. mój nowy laptop sprawuje się bardzo dobrze. Wieczorem byłam w kinie na australijskim filmie "Red Dog". Bardzo fajny film. Momentami śmieszny, a momentami bardzo wzruszający. Polecam tym, którzy lubią pieski. Akcja rozgrywa się na australijskim outbacku. W mieście, którego nazwy nie pamiętam rzeczywiście stoi rzeźba przedstawiająca tego psa:) Może uda mi się tam kiedyś dojechać.

18.12 - Pobudka o 7:00, godz. 8:15 shutlle bus, który zawiózł mnie na prom. O 9:30 wypłynęliśmy w kierunku Strewart Island. Po drodze mijaliśmy inne małe wysepki oraz różnego rodzaju ptaki. Były m.in. albatrosy. Obsługa promu powiedziała, że albatrosy latają do Tasmanii (australijska wyspa, na południu Australii). Do Tasmanii i z powrotem zabiera im to 3 dni. Po godzinie byliśmy na wyspie. Stewart Island jest 3 co do wielkości wyspą Nowej Zelandii. Pierwszą jest wyspa północna, drugą południowa i trzecią Stewart Island. Stewart kiedyś nazywana była wyspą południową, bo mieszkało na niej więcej ludzi, jak na obecnej wyspie południowe. Na wyspie czekał na mnie mały busik. Ja i 3 inne osoby pojechaliśmy na wycieczkę objazdową po wyspie. Kierowca co chwile zatrzymywał się i opowiadał różne ciekawostki. Np. na wyspie jest tylko jeden dom wybudowany z cegły, reszta jest z drewna, bo jest go tam pod dostatkiem. Ceglany dom uważany jest za coś bardzo drogiego. Na wyspie jest też jeden sklep, w którym zaopatrują się wszyscy, przeważnie raz w tygodniu robiąc duże zakupy. Kierowca śmiał się, że ekspedientki wiedzą, co masz na śniadanie danego dnia:) Jest też szkoła, w której uczy się 20 uczniów, mają też 4 nauczycieli. Dzieci nie używają zeszytów ani książek. Nauka odbywa się za pomocą komputerów. Nie ma kina, ale pewna rodzina co czwartek wyświetla filmy specjalnie dla dzieci. Tego dnia wszystkie dzieci, od razu po szkole idą do "kina":) Dorośli, żeby pójść do kina, muszą to zrobić w Invercargill. Mają jedno boisko, które jest starannie pielęgnowane. Trawa jest nawożona i regularnie koszona... A to wszystko dla jednego meczu w roku:) Mecz rozgrywany jest między Maorysami, a pozostałymi mieszkańcami wyspy. W większości wygrywają Maorysi. Na wyspie żyje ich wielu. Kierowca pokazał nam pewien duży dom, w którym mieszkała rodzina, która miała 25 dzieci! Kolejna duża rodzina, to 11 dzieci i 9. Niezłe wyniki. Nie mają tam szpitala, są za to 4 pielęgniarki. Pielęgniarki nie mogą wystawiać recept, ale wypisują tzw. skierowanie dla lekarza, który przepisuje, to co polecają pielęgniarki. Trzeba jednak odwiedzić lekarza w

Invercargill. W nagłych przypadkach pacjenci są transportowani helikopterem do szpitala w Invercargill. Straż pożarna także stacjonuje na wyspie. Jednak nikt nigdy nie widział ich w akcji. Jedynym ich zajęciem jest łowienie ryb i weekendowe picie piwa:) Komenda policji zawiera jednego policjanta, który podobnie, jak strażacy, swój czas poświęca rybom. Raz w roku na 2 tygodnie jedzie do Invercargill zdać tzw. raport. Na ten czas na wyspę przypływa zastępczy policjant. Przeważnie jest to kobieta, która uwielbia wyspę i ich mieszkańców:) Jest także cmentarz. Szczegółów pochówków nie znam. Chętnie poznałabym je, ale reszta grupy raczej nie. Mają też muzeum, w którym byłam. Za 2 dolary zobaczyłam historię wyspy i jej mieszkańców. Stroje, jakie nosili, narzędzia jakimi się posługiwali, stare zdjęcia, na których uwieczniono połowy wielorybów i ich oskórowanie itd. Jest jedna stacja benzynowa, na której jest tylko jeden dystrybutor. Mieszkańcy na tyle sobie ufają, że jeśli nie ma nikogo z obsługi stacji, to można wziąć tyle paliwa ile potrzeba i wpisać się w zeszyt, a uregulować później. Na samej wyspie żyje ok 5000 kiwi, my nie zobaczyliśmy ani jednego:(Mieszkańców jest 200. Dla zainteresowanym kupnem domu na wyspie, ceny są kolosalne. Za mały domek trzeba zapłacić ok. milion nowozelandzkich dolarów. Wyspa jest piękna, ale ok. 270 dni w roku pada tam deszcz. Za to zimą nie ma w ogóle śniegu.

19.12 - 8:45 wyjazd z Invercargill, potem przesiadka w Gore i w **Oamaru** byłam o 14:30. W związku z tym, że kierowca wysadził nas nie wiadomo gdzie, to znalazłam na najbliższej toalecie publicznej mapę i poszłam do biura informacji. Tam wzięłam mapę miasta i zapytałam o najciekawsze miejsca, które mogłabym zobaczyć w jeden dzień. Okazało się, że mój hostel znajduje się na drugim końcu miasta. Dojście zajęło mi ok. 40 minut. Ale tym razem nie było pod górę:) Hostel bardzo ciekawy, prowadzony przez artystów malarzy. Wszędzie wiszą obrazy. I tym razem okazało się, że jestem pierwszą Polką, która tu nocuje. Po przepakowaniu paru rzeczy, poszłam zwiedzać miasto. Oamaru jest bardzo piękne. Najbardziej podobała mi się ulica Harbour. Jakbym cofnęła się w czasie o ponad 100 lat. Stare budynki, na nich różne napisy informujące, co znajduje się w środku lub co znajdowało się. Była też fabryka whisky. Można było posmakować. Nie skorzystałam, bo do hostelu daleko, a po posmakowaniu zawsze trzeba chociaż coś kupić. Tak wypada... Poszłam więc dalej i znalazłam duży park "Publlic Garden". Piękny park w środku miasta.

20.12 - O 9:30 wyjazd do **Kaikorua**. Z Oamaru do Kaikoura musiałam się przesiąść do innego autobusu. Przesiadka była w Christchurch. Spędziłam tam 2 godziny. Z biura Intercity dostałam mapę miasta. Pewna starsza Pani, która czekała na ten sam autobus, postanowiła pójść ze mną na spacer. Przeszłyśmy wokół wielu zniszczonych budynków. Trzęsienie ziemi, które było w zeszłym roku zabiło wielu ludzi i zniszczyło wiele pięknych budynków. Nie miałyśmy wiele czasu, żeby zobaczyć wszystko, ale za 2 dni i tak tutaj wrócę, bo stąd mam samolot do Sydney. Do Kaikoura dotarłam po 18.

21.12 - Po zrobieniu drobnych zakupów, poszłam wyznaczonym szlakiem zobaczyć foki. Okazało się, że rzeczywiście było ich tam kilka. Wygrzewały się na słońcu:) Ale nie można podchodzić do nich za blisko. Co kawałek ustawione są tablice informujące, że podchodząc do fok trzeba zachować odległość minimum 10 metrów. Podobno są bardzo szybkie i niebezpieczne. W końcu, to dzikie zwierzęta. Z tego miejsca poszłam na wzgórze, z którego widziałam całe miasteczko. Pogoda była piękna, więc miałam niesamowity widok. Kiedy wróciłam, żeby jeszcze raz zobaczyć foki, spotkałam Daniela! Nowa Zelandia jest bardzo mała i każdy jedzie w to samo miejsce...:) Wracając do miasteczka, weszłam do najstarszego domu w Kaikoura - Eyffe House. Za wstęp zapłaciłam 9 dolarów, ale było warto. Czułam się, jakbym cofnęła się w czasie. Wszystko wyglądało tak, jakby mieszkańcy dopiero, co wyszli na spacer. Byłam w ich sypialniach, które okazały się bardzo małe. Na drzwiach wisiały ubrania, na podłodze stały buty, łóżka były pościelone... Kuchnia ze spiżarnią, w której były naczynia i butelki po whisky, fancie i innych napojach. Na zewnątrz piękny ogród i .. toaleta:) Ten dom przywołał u mnie wspomnienia z czasów dzieciństwa, kiedy to każde wakacje spędzałam na wsi u dziadków.

22.12 - Przed 10 śniadanie i wymeldowanie się z hostelu. O 12:35 autobus do **Christchurch**. Ok.

16 byłam na miejscu. Na ostatnie 3 noce zarezerwowałam sobie pokój w motelu. Spotkałam w nim Elisabette, z którą dzieliłyśmy pokój w hostelu w Kaikoura. Miałyśmy pokoje obok siebie. Wieczorem piłyśmy wino i oglądałyśmy finał X-Factor'a:) Dla Elisabetty to jest już 3 podróż po Nowej Zelandii. Powiedziała, że Christchurch było naprawdę pięknym miastem. Zwłaszcza jego centrum. Po zeszłorocznym trzęsieniu ziemi całe centrum miasta zostało zamknięte z powodu zniszczeń. Wiele budynków zostało doszczętnie zniszczonych. Ludzie, którzy tam wcześniej mieszkali wyprowadzili się do Oamaru i innych miast. Dzisiaj zrobiłam sobie sałatkę świąteczną;) Była pyszna, ale nie zawierała ogórków kiszonych:(Zapomniałam w ogóle o tym, ale pewnie oni i tak nie mają pojęcia, co to takiego i nie da się ich kupić.

23.12 - Spałam do bólu;) Potem pyszne śniadanko i pakowanie wszystkich informatorów, map itp. To były najcięższe rzeczy w mojej torbie, więc postanowiłam wysłać je pocztą do Sydney. Poszłam wg mapy w stronę centrum. Na miejscu, gdzie powinna być poczta, były tylko gruzy. Musiałam więc znaleźć inną pocztę. Okazało się, że jest całkiem daleko. No, ale udało się. Paczka wysłana. Teraz można iść do centrum i porobić fotki. Przechodząc obok "red zone" czułam się bardzo dziwnie. Ciarki przechodziły mnie po plecach, jak sobie pomyślałam, co musieli przeżywać Ci ludzie w zeszłym roku, kiedy było tu trzęsienie ziemi. Centrum odgrodzone barierkami, wstęp tylko dla uprzywilejowanych. Strażnicy pilnują tego. Każdy wjeżdżający i wyjeżdżający samochód jest spisywany. Widziałam tylko kilka osób, które tak samo, jak ja z ciekawości przyszły zobaczyć zniszczenia. Niektórzy pokazywali palcami "Tam stał sklep, tam mieszkał..." Niektórzy chwytali się za głowę. W telewizji wygląda to zupełnie inaczej. Nie da się poczuć tych emocji. Przeszłam nad rzekę, gdzie rodzina kaczek leżała sobie na trawie.. Jedyni mieszkańcy tej okolicy. Usiadłam na ławce i patrzyłam, jak ciężki sprzęt ciągle pracuje w centrum. Po kilku minutach postanowiłam zobaczyć więcej. Zastanawiałam się nawet, czy obejść tę strefę naokoło. Byłam głodna, do motelu dosyć daleko. Ale z drugiej strony, jeśli nie pójdę tam dzisiaj, to już nigdy tego nie zobaczę. I właśnie wtedy kiedy poszłam dalej, blisko "red zone", zatrzęsła się ziemia! Najpierw usłyszałam obijające się blachy na budynku, obok którego przechodziłam. Kompletnie nie wiedziałam, co się dzieje. Ale trzęsło się kilka sekund, na tyle mocno, że ciężko było ustać w pionie. Kobieta, które szła przede mną zaczęła krzyczeć, że to był silny wstrząs i trzeba uciekać! Przeszłam na drugą stronę ulicy, był tam pewien chłopak, który tak samo, jak ja był w ciężkim szoku. Próbowaliśmy sobie wytłumaczyć, co się stało. Jego hostel był bardzo blisko, więc do motelu poszłam sama. Po drodze widziałam wystraszonych ludzi na ulicach, straże pożarne w gotowości. Kiedy włączyłam aparat, żeby to nagrać, zatrzęsło się jeszcze raz. Ale tym razem o wiele słabiej. Postanowiłam zapomnieć o aparacie i pójść w stronę motelu. Idąc chodnikiem widziałam wylewającą się wodę spod ulic i chodników. Omijałam każdą kałuże w obawie, że może to być wielka dziura. Była godzina 14, czyli w Polsce 2 w nocy, ale zadzwoniłam do rodziców. Powiedziałam tylko "Wiem, że jest 2 w nocy i śpicie, ale właśnie było trzęsienie ziemi. Jestem w centrum miasta, ale już idę do motelu. Nic mi się nie stało". Może powiedziałam coś jeszcze, ale nie pamiętam. Doszłam do motelu i zobaczyłam właścicieli na zewnątrz. Zapytali czy się wystraszyłam. No, oczywiście, że tak! Powiedzieli, że najbezpieczniej jest na zewnątrz. Weszłam jednak do pokoju, żeby włączyć komputer. W momencie, kiedy pisałam maila do rodziców zatrzęsło się najmocniej, 6 stopni w skali Richtera! Wybiegłam na dwór z laptopem w ręku i zupełnie nie wiedziałam, co mam robić. Nie dało się biec, bo wszystko pod nogami się trzęsło, błędnik szalał, obraz przed oczami się zamazywał. Właścicielka motelu tak samo, jak ja stała przerażona na zewnątrz. Po kilku sekundach się skończyło. Bałam się wejść do pokoju, ale jednak to zrobiłam. Wrzuciłam do plecaka wszystkie moje dokumentu, coś do picia i jedzenia, telefon, komputer i wyszłam na dwór. Spędziłam tam 2 godziny. Połączyłam się na skypie z bratem. Wiedziałam, że on nie śpi o tej porze. W trakcie naszej rozmowy zatrzęsło się kilka razy, ale słabiej. Kolejny posiłek, jaki zjadłam tego dnia, to była moja sałatka. A jadłam ją ok. 22-23. W telewizji co chwilę pokazywali informacje na temat trzęsienia. Centra handlowe, lotnisko i niektóre szpitale zostały ewakuowane. Do godz. 24:00 było 46 wstrząsów! Spałam tylko 3 godziny.

24.12 - Wstałam o 6:00. Na dzień dobry było kilka wstrząsów. Na szczęście słabych. O 7 rano przyjechał po mnie shuttle bus i zawiózł mnie na dworzec. O 8:15 pociąg Tranz Alpine do Greymouth. Byłam taka zmęczona, że większość drogi spałam! A miało być tak pięknie. Chyba

zacznę pić kawę... Przez pierwsze kilkadziesiąt kilometrów pociąg jechał bardzo wolno, ze względu na wstrząsy. Dalej było już szybciej. Pogoda była piękna, widoki jeszcze lepsze. W przerwach kiedy nie spałam robiłam fotki;) W Greymouth byłam tylko godzinę. To był czas na lunch. Ale Greymouth już znałam, bo byłam tu 2 noce. Do Christchurch wróciłam ok. 19:00. Kierowca shuttle busa powiedział, że nie było dzisiaj wstrząsów. Jak się później okazało były. Z resztą sama poczułam jeszcze kilka wieczorem.

25.12 - Kilka porannych wstrząsów... Rozmawiałam z rodziną na skypie. Oni akurat skończyli kolację wigilijną, a ja jadłam śniadanie;) O 10:00 wymeldowałam się z motelu i pojechałam taksówką na lotnisko. Samolot miałam dopiero o 15:15. No, ale szybko minęło. Okazało się, że moja walizka waży 19,9kg, a mogę przewieźć 20kg! To się nazywa wyczucie. 5,5kg wysłałam pocztą do Sydney. Przed check-inem każdy musiał wypełnić formularz. Imię, nazwisko, jak długo przebywał na terytorium NZ, czy wywozi jakieś materiały niebezpieczne, czy też rośliny itd. Obyło się bez problemów, bo nic takiego nie miałam. Ok. 17:00 byłam w Australii. Zaznaczyłam w formularzu, że wwożę leki i drewno. Leki w postaci tabletek na alergię i przeciwbólowych, drewno w postaci małej, maoryskiej figurki. Tak naprawdę, to do końca nie wiedziałam, czy jest to drewno. Ale lepiej zaznaczyć, że ma się coś takiego w walizce. Najlepiej niech przeszukają torbę na nasze życzenie, a nie odwrotnie. Tak też było. Zostałam skierowana do innej kolejki, niż reszta pasażerów. Celnik przyodziany w gumowe rękawiczki, był przygotowany do przyjęcia mojej torby;) Pan był bardzo miły. Rozmawialiśmy na temat Polski i co tu robię, jak było w Nowej Zelandii i co za drewno wwożę... Odpowiedziałam, że nie jestem pewna, czy to jest drewno, ale nie chcę mieć przez to problemów, więc to zgłosiłam. Przez kilka minut przewracałam wszystko w torbie. Zapomniałam, gdzie wcisnęłam tę figurkę! Aż w końcu udało się! Znalazłam! Celnik też się ucieszył...;) Zobaczył figurkę, zapytał, co to właściwie jest. Odpowiedziałam, że to maoryska figurka, która ma przynosić szczęście. Uśmiechnął się, odpowiedział, że to jest drewno i oddał mi to:) Życzył wesołych świąt i się pożegnał.

Nowa Zelandia jest bardzo pięknym krajem, a zarazem niebezpiecznym. Nie ma tutaj zagrożenia w postaci zwierząt, czy terrorystów. Najpoważniejsze, to trzęsienia ziemi...

Miasta, miasteczka, wioski, wyspy, które zwiedziłam:
Auckland
Waiheke Island
Rotorua i okolice
Turangi i okolice
Wanganui i okolice
Wellington
Nelson i okolice
Westport i okolice
Greymouth
Hokitika
Franz Josef
Queenstown
Milford Sound
Dunedin
Invercargill
Stewart Island
Oamaru
Kaikoura
Christchurch

Przydatne informacje (co trzeba zabrać, czego nie, co umieć itd., itp.):
* zabrać:
- bardzo ciepłe ciuchy, niezbędne na północnej wyspie i wieczorami także na południowej
- wygodne buty do wędrówek po parkach, które w większości znajdują się w górach

- klapki, sandały
- ciepła czapka i grube skarpety
- inne nakrycie głowy, czapka z daszkiem lub kapelusz (kapelusz jest lepszy, bo chroni też uszy!)
- balsam do opalania (filtr minimum 30!)
- balsam po opalaniu
- żel na ukąszenia
- okulary przeciwsłoneczne
- kąpielówki
- karta kredytowa, czy debetowa
- prawo jazdy międzynarodowe (niezbędne przy wynajmie samochodu)
- paszport z długą datą ważności i inne dokumenty ze zdjęciem, np. dowód osobisty
- bilet powrotny
- rezerwację hostelu
- aparat
- laptop (małych rozmiarów:)
- ciuchy na deszcz
- przewodnik
- coś do pisania
- ręcznik
- telefon komórkowy, ale kartę sim kupujemy na miejscu (ja korzystałam z siedzi 2degrees), doładować konto można wszędzie, w sklepach, na stacjach benzynowych, w biurach informacji turystycznej
- ciepła piżamka, to też przyjemna rzecz
- adapter do kontaktu. Tutaj gniazdka są inne, jak w Polsce

* niepotrzebne:
- wiza do 90 dni pobytu

* inne ciekawostki:
- przed lądowaniem w samolocie stewardessy rozdają formularze do wypełnienia, w których trzeba wpisać swoje dane, nr paszportu, ilość dni, które chcemy spędzić w NZ, adres, gdzie będziemy mieszkać (czyli adres pierwszego hostelu, w którym mamy zarezerwowany nocleg), co wwozimy do NZ (leki, jedzenie, alkohol, papierosy, buty (!). Jeśli nie wiadomo, co zaznaczyć, nie zaznaczamy nic. Na lotnisku przy okienku można się dopytać i uzupełnić resztę.
- na lotnisku - trzeba okazać bilet powrotny
- pytają, czy przewozimy jakieś buty, w tym przypadku chodzi im o buty trekkingowe itp., bo przecież pod podeszwą można przewieźć nielegalnych imigrantów w postaci roślinek, czy małych zwierzątek;)
- wwożenie, czy wywożenie jedzenia jest absolutnie zabronione
- znajomość języka angielskiego jest niezbędna, chociaż w niektórych hostelach obsługa jest niemiecka
- lokalne przewodniki i mapy znajdziemy w każdym punkcie informacji turystycznej
- Nowozelandczyk zawsze się uśmiecha i ma dobre nastawienie do innych i takie samo powinno być nasze
- większość turystów stanową Niemcy, chociaż ja spotkałam również Izraelczyków, Anglików, Szwedów, Finów, Francuzów, Amerykanów, Kanadyjczyków
- w większości hosteli wodę można pić prosto z kranu, w ten sposób zaoszczędzamy kilka dolarów dziennie
- najlepiej nocować w hostelach, które należą do grupy hosteli "YHA" lub "BBH"
- zakupy robiłam tylko w "Pack n Save", "New World" i "Countdown" - najtaniej!
- darmowy internet w Mc Donalds, kawiarenkach i na stacjach benzynowych (internet w hostelach cholernie drogi! Czasami 2 dolary za 15minut!)
- każdy Nowozelandczyk jest dumny ze swojej narodowej reprezentacji w rugby, czyli "All Blacks". Flagi wiszą we wielu domach, a kierowcy albo mają ich naklejki na szybach, albo flagi.

- każdą rezerwację najlepiej zapisać sobie na kartce papieru i mieć ją przy sobie. Nie wystarczy w komputerze, bo nie zawsze jest internet! Albo jest za drogi.
- podstawowa wiedza na temat gotowania jest niezbędna
- umiejętność obsługi pralki i suszarki również się przydaje, tutaj nie ma mamusi, która za nas wypierze;)

Trochę z języka Maorysów:
kia ora - cześć
heare mai - witamy
wai - woda, napój
kai - jedzenie
heketua - toaleta
whanau - rodzina

Pozdrowienia dla wszystkich
Kasia Aszyk